

LEGENDY RODZINNE

Źródłem najważniejszych wyzwań zawsze były dla niego teraźniejszość i przyszłość. Andrzej nie prowadził badań nad historią i genealogią swojej rodziny. Nikt nie rozbudzał w nim tęsknot za przeszłością, zatem niewiele o niej wiedział. Nie było w domu materialnych pamiątek ani zdjęć z zamierzonych czasów, tylko okazjonalnie pojawiały się jakieś odległe wspomnienia w ustnych przekazach matki, ojca i obu babć, bowiem jeden dziadek o tych sprawach nigdy nie mówił, a drugi zakończył życie w 1914 roku.

Jego rodzice urodzili się na mitycznych Kresach Wschodnich dawnej Rzeczypospolitej, oboje utracili swoje małe ojczyzny i tak często musieli zmieniać miejsca na ziemi, że przyzwyczaili się do swoistej tymczasowości. Potrzebowali jednak stabilizacji i okresami udawało im się ją osiągnąć. Stałymi punktami odniesienia były dla nich Dzielnicą Łacińską i Ogród Luksemburski w Paryżu, bo nie zostały zniszczone, wymazane z pamięci, a byli tam młodzi i szczęśliwi. Zresztą każde z osobna, bo poznali się później, już w Polsce.

W jakiejś mierze odziedziczył po nich ten sam punkt odniesienia i wracał do niego często, dawniej w rzeczywistości, a później w myślach. Choćby parę minut w Jardin de Luxembourg było obowiązkowym elementem każdej jego wizyty w Paryżu. Hotel na rue Monsieur le Prince, w którym mieszkał jego ojciec podczas swoich studiów w Paryżu w latach 1927–1929, stoi do dziś, zamieniony na mieszkania, a restaurację, w której się stołował, prowadzi kolejna generacja Chińczyków. Bywał tam nieraz. Tam świętował w 1967 roku kupno pierwszego samochodu, używanego volkswagena garbusa w przepięknym morskim kolorze z podwójnymi „amerykańskimi” zderzakami.

Rodziny mit założycielski Koźmińskich głosił, że w XV wieku rodzina podzieliła się na dwie gałęzie: wielkopolską, ciągnącą ku Koźminowi i ukraińską, penetrującą żyzne wschodnie ziemie Rzeczypospolitej. Ta pierwsza,

osiadła i uładzona, dochrapała się sporego znaczenia i podobno nawet jakiegoś kupionego tytułu hrabiowskiego. Z tej drugiej wywodzili się kresowi zagończycy, którym czas upływał na ciągłych utarczkach i wojnach z Tatarami, Kozakami, Turkami, Rosjanami, a nierzadko i z sąsiadami, z którymi nawzajem najeżdżano się zbrojnie. Cała ta barwna tradycja zapadła się pod ziemię w wyniku okrutnej i krwawej rozprawy bolszewików z polskim ziemiaństwem kresowym, a jej ocalone w pamięci szczątki przeniesiono do wolnej Polski. Niewiele z niej przetrwało wojnę, okupację i powojenny komunizm czy realny socjalizm (Wańkowicz 1972; Pawełczyńska 2003, 2003a; Jałowiecki 2012). Po przodkach-zagończykach odziedziczył silne dążenie do niezależności i maksymalnej swobody działania, pewną dozę przekory i niewątpliwie skłonność do ryzyka.

Jego ojciec, Leon Koźmiński, urodził się 14 października 1904 roku w Daszkowcach, niewielkiej wsi, oddalonej 20 kilometrów na wschód od Winnicy i 60 na zachód od Baru. Płynąca dość wartko przez żyzne lessowe ziemie Wyżyny Wołyńsko-Podolskiej rzeka Boh z dopływami nawadniała pola, na których falowały łany zbóż. Daszkowicki dwór uwiecznił na rysunkach Napoleon Orda, XIX-wieczny malarz i kompozytor, zaprzyjaźniony z Fryderykiem Chopinem. Pozbawiony majątku za udział w powstaniu listopadowym jako artysta-banita wędrował po Kresach, rysując tamtejszą architekturę, głównie przepiękne pałace polskich magnatów. Dwór w Daszkowcach nie był pałacem, więc z jakiegoś powodu musiał być wyjątkowy, skoro trafił do teki artysty. Być może Orda rysunkiem odwdzińczył się za udzieloną gościnę?

Daszkowce są wymieniane już w 1768 roku w testamencie hrabiostwa Eustachego i Marianny Potockich wśród 11 miast i 104 wsi, jakie zostawili w spadku licznemu potomstwu. Rodzice Leona, Bolesław Koźmiński i Maria Koźmińska z domu Dyakowska, mieszkali tam przez pewien czas. Wkrótce po przyjściu na świat syna Leona przenieśli się 100 kilometrów dalej, do Wysszyczusów, porzucając dobrze znane z Trylogii Henryka Sienkiewicza Podole na rzecz Wołynia. W każdym razie Leon Koźmiński miał w dokumentach zapisany kraj urodzenia: Rosja, ale w życiorysie sam pisał – Daszkowce, powiat lityński, Ukraina.

Babcia Maria opowiadała wnukowi, że w pierwszym okresie małżeństwa, jeszcze przed urodzeniem syna, mieszkali z mężem w okolicach Odessy na pograniczu ówczesnej Besarabii, czyli dzisiejszej Mołdawii i Ukrainy. Jej mąż,

Bolesław Koźmiński dzierżawił tam któryś z wielkich majątków należących do polskiej arystokracji, chyba do Potockich, gdzie były wielkie plantacje ar-buzów – nazywanych przez babcię kawonami.

Główną siedzibą rodu Koźmińskich był Zharek, oddalony 70 kilometrów od Daszkowców, duży i nowoczesny jak na tamte lata dwór zbudowany w 1879 roku przez Konstantego Koźmińskiego, stryja Bolesława. W Zharku urodził się wybitny hydrobiolog i zoolog okresu międzywojennego, Zygmunt Koźmiński, który badał plankton w jeziorach polskich i amerykańskich. Zginął pod Lwowem w kampanii wrześniowej w 1939 roku, gdzie do końca bohaterstwo dowodził powierzoną mu placówką. Groby Zygmunta i jego starszego brata Tadeusza, który zmarł w 1926 roku w Zakopanem, znajdują się na warszawskich Powązkach. W 2021 roku profesor Andrzej Koźmiński zadbał o uwiecznienie swojego przodka badacza, wspomnianego Zygmunta, dedykując jego pamięci jedną z sal wykładowych Akademii Leona Koźmińskiego.

Niespełna 100 kilometrów od Daszkowców leżą Kotiużyńce. To gniazdo rodzinne Dyakowskich, rodziny jego babki ze strony ojca – Marii. Usłyszał o tym chyba kilka lat po wyzwoleniu, kiedy babcia przyjeżdżała do nich na święta i kiedy prowadziło się długie rozmowy przy stole. Wówczas kilkuletni, wiecznie głodny – jak to powojenne dzieci – chłopiec więcej uwagi poświęcał indykowi, który uświetniał świąteczny obiad, niż wspomnieniom babci. Coś jednak z nich zostało.

W 1864 roku w Kotiużyńcach urodził się pisarz i biolog, popularyzator wiedzy przyrodniczej Bohdan Dyakowski, który jeszcze przed rewolucją bolszewicką wyemigrował z Kresów do Zakopanego. Jego córką była profesor Jadwiga Dyakowska (1905–1992), której Uniwersytet Jagielloński zawdzięcza zachowanie Ogrodu Botanicznego w Krakowie w trakcie okupacji niemieckiej w latach 1939–1945. Prapradziad Bohdana, Mikołaj, dworzanin króla Jana III Sobieskiego, zasłynął jako autor pamiętników z kampanii wiedeńskiej pod tytułem *Dyaryusz wiedeńskiej okazyi roku 1683* (1717). Babcia Maria Koźmińska lubiła powtarzać rodzinną legendę, że w czasie tej odsieczy po jednej stronie króla Jana jechał Dyakowski, a po drugiej inny jej kuzyn, Ruszczyc. O zdziczałym Ruszczycu, kresowym watażce, wspomina też Sienkiewicz w Trylogii, zapewne powtarzając tę samą legendę.

Ziemiaństwo kresowe nie było szczególnie wykształcone ani wyrafinowane. To byli zagończycy i rolnicy twardo eksploatujący żyzne ziemie oraz zamieszkującą je ukraińską ludność, która w latach 1917–1920, a potem

w 1944 roku okrutnie odpłaciła za wyzysk i upokorzenia. Leon Koźmiński był chyba jednym z pierwszych w rodzinie, który odbył studia, uzyskał doktorat za granicą i został profesorem.

Leon spędził dzieciństwo już w Wyszczukusach, w okolicach Żytomierza. Jego ojciec znakomicie prosperował jako dzierżawca majątków i przedsiębiorca rolny. Majątek Wyszczukusy kupił na wyraźne życzenie świeżo poślubionej (drugiej po śmierci pierwszej) żony Marii, która oczekiwała stabilizacji i związanej z nią pozycji towarzyskiej wśród kresowego ziemiaństwa. Dwór był piękny, o pałacowym charakterze, co w pełni odpowiadało aspiracjom małżonki. Była tam francuska bona dla syna, która okazała się niezwykle utalentowaną kucharką i w rezultacie często kierowano ją do kuchni, małego Leona pozostawiając pod opieką kucharza. Koźmińscy mieli też dom w Żytomierzu, gdzie zimą mieszkowali. W 1907 roku w mieście tym funkcjonowało już kino, oferujące ulubioną rozrywkę kucharza. Brał więc Leona ze sobą i razem przesiadywali po kilka seansów z rzędu. Mimo tego Leon nigdy nie został ani kinomanem, ani kucharzem amatorem.

Wieś Wyszczukusy to obecnie Veselka. Leży mniej więcej w połowie drogi między Kijowem a Lwowem, 70 kilometrów od Żytomierza. Już przed I wojną światową z tej okolicy była możliwa podróż pociągiem do dowolnego miejsca w Europie. Andrzej dowiedział się tego przypadkiem w trakcie świąt Bożego Narodzenia, podczas których wspominano dawne czasy. Babci Marii, która po wojnie zamieszkała w Kościerzynie i przyjeżdżała pociągiem do rodziny syna do Warszawy, zawsze towarzyszył pewien emerytowany kolejarz, pan K. Przed rewolucją był on naczelnikiem stacji położonej najbliższej Wyszczukusów. Jego żona wcześniej pracowała we dworze Koźmińskich jako pokojówka. Przez małżeństwo z nią, w dużej mierze inspirowane przez Marię Koźmińską, pan K. stał się niejako członkiem rodziny. W 1919 roku K. przeniósł się z bliskimi do Polski, gdzie kontynuował kolejarską karierę i już po II wojnie – jako emerytowany kolejarz wyposażony w darmowy bilet – chętnie towarzyszył Marii w podróży, pomagając jej dźwigać wielki kufer i niemal równie wielkiego indyka, którym na święta obdarowywała rodzinę syna. Do dziś to właśnie indyk jest dla Andrzeja symbolem świąt i związanej z nimi obfitości.

Tradycję „matkowania” kolejarskiej rodzinie K. babcia Koźmińska próbowała kontynuować jeszcze w latach 60., gdy postanowiła wyswatać córkę dzielnego kolejarza. Skończyło się to dla niej fatalnie, bo w zimie 1970 roku

zaziębiła się i umarła. Kiedy panna K. przyszła ją odwiedzić w jej ostatniej „rezydencji”, warszawskiej kawalerce przy Filtrowej, wbrew wyraźnemu zakazowi lekarza babcia stanowczo zarządziła wspólny spacer, a był silny mróz. W wyniku tej przechadzki wywiązało się zapalenie płuc, którego nie udało się już wyleczyć. Nieodrodna córka rodu Dyakowskich spoczęła na Powązkach obok męża, pochowanego 56 lat wcześniej Bolesława Koźmińskiego.

Kresowa szlachta żyła dość ekstrawagancko. Zdarzały się przyjęcia ponad stan, hazard, brak inwestycji w unowocześnienie gospodarstw czy długi. Dziadek Andrzeja, Bolesław, wpadł w kłopoty na skutek zabawowego trybu życia. Mówiło się nawet, że koszule frakowe wysyłał do prania do Wiednia! Jednak nie koszule go zrujnowały, tylko karty. Zaczynał na targach zbożowych w Kijowie, a potem – jak karta szła – były Warszawa, Wiedeń, wreszcie Monte Carlo. Z każdej eskapady przywoził żonie jakąś piękną sztukę biżuterii dla prześlągnięcia jej słusznego gniewu. Paradoksalnie ci niemi świadkowie grzechów małżonka umożliwili babci Koźmińskiej przetrwanie ciężkich czasów. Sprzedawała a to pierścionelek, a to bransoletkę, a to naszyjnik i uzupełniała w ten sposób skromny budżet. Jeszcze po jej śmierci w 1970 roku zostały jakaś mała bransoletka i pierścionelek. Podobno użyła sprytnego podstępu w celu wywiezienia biżuterii z ogarniętej wojną i kontrolowanej częściowo przez bolszewików Ukrainy: otóż wszystkie swoje brylanty pomalowała na czerwono i przypinała w widocznych miejscach do ubrania, kapelusza itp. Tak udało jej się uratować część majątku. Dzięki temu zasobowi nabywała kolejne, coraz mniejsze nieruchomości: dom z ogrodem w Kościerzynie, domek w Redzie koło Wejherowa i wreszcie kawalerkę na Filtrowej w Warszawie. Rodzice często wysyłali Andrzeja na wakacje zamiennie – do babci Marii nad morze do Redy albo do dziadków Szołkowskich do Szczecina. Oczywiście wołał zawsze te wakacje z dziadkiem, który dawał młodemu chłopakowi dużo swobody, wierzył bowiem w jego przyszłość jako oficera lub w każdym razie wojownika. Babcia Maria była nieustępliwa w kwestii zasad, goniła do kościoła i nie pozwalała wnukowi na zbyt wiele.

Na tle całej rodzinnej historii z dziadkiem Bolesławem ojciec wymusił na Andrzeju przyrzeczenie, że nie będzie nigdy grał w karty ani inne gry hazardowe. Dotrzymanie obietnicy nie sprawiało mu najmniejszej trudności, bo też nie wykazywał żadnych skłonności do hazardu, mimo że zdarzało mu się wielokrotnie bywać w kasynach na całym świecie.

SZKOŁA W SZWAJCARII

Bolesław Koźmiński zakończył życie w Warszawie w wieku 47 lat i w 1914 roku został pochowany na Powązkach. Kiedy w dniu Wszystkich Świętych Andrzej odwiedzał jego grób z babcią i rodzicami, zastanawiał się, co znaczy zagadkowy napis przedstawiający chyba profesję dziadka, którego nigdy nie poznał: „obywatel ziemski”.

Po przedwczesnej, tragicznej śmierci męża babcia Maria wywiozła dziewięcioletniego syna Leona do Szwajcarii. Początkowo trafił do Szkoły Odrodzenia doktora Juliana Gawrońskiego w Vevey, a potem do szkoły z internatem o nazwie Collège Champittet w Lozannie, gdzie pozostawiła go, jak się później okazało, na długie lata. Był rok 1914 i wkrótce wybuchła I wojna światowa, a następnie rewolucja bolszewicka i cały dawny świat zapadł się pod ziemię.

W okresie I wojny światowej Lozanna i położone nieco na uboczu miasteczko Vevey były ośrodkiem, wokół którego grupowała się polska emigracja polityczna. Od 3 października 1914 do swojej śmierci 15 listopada 1916 roku w Grand Hôtel du Lac w Vevey mieszkał z żoną Henryk Sienkiewicz, który wcześniej opuścił ogarniętą wojną Polskę. Wspólnie z Ignacym Paderewskim założyli tu Szwajcarski Komitet Generalny Pomocy Ofiarom Wojny w Polsce.

W Lozannie z inicjatywy przebywającego tam Romana Dmowskiego 15 sierpnia 1917 roku został zawiązany Komitet Narodowy Polski, którego reprezentanci uczestniczyli w kongresie pokojowym w Paryżu po I wojnie światowej i przyczynili się do uznania niepodległej Polski przez państwa ententy. Wielkim atutem tego miejsca było doskonałe połączenie kolejowe z najważniejszymi miastami Europy.

Wojna, która wiosną 1914 roku wisiała w powietrzu, wcześniej czy później musiała objąć całą Ukrainę i Galicję Wschodnią, bo wszelkie płynące przez Europę armie trzeba przecieć gdzieś wyżywić, a tu zawsze było największe zaplecze aprowizacyjne. Położenie geopolityczne zapewniało otoczonej górami Szwajcarii trwały pokój i bezpieczeństwo w przypadku działań wojennych w Europie. Pewnie dlatego Maria Koźmińska wybrała to miejsce dla syna. Być może zdecydowały też względy zdrowotne: Leon był podobno chorowitym dzieckiem. Kierowała się także zamiarem nadania chłopcu rzadkiego na Kresach „europejskiego szlifu” i trzeba przyznać, że w pełni jej się to udało. Zdecydowała się na szkołę eksperymentalną doktora Juliana

Gawrońskiego w Vevey, która łączyła edukację, wychowanie oraz działalność leczniczą, z mocnym naciskiem na krzewienie uczuć narodowych i patriotycznych wśród przebywających tam polskich dzieci. Przyjechała do Szwajcarii z synem w marcu 1914 roku. Zanim zostawiła jedynaka pod opieką państwa Gawrońskich, najpewniej mieszkała w tym samym hotelu, w którym pół roku później zameldował się Sienkiewicz, otoczony już wówczas wielką sławą noblisty. Można to sprawdzić w księgach meldunkowych hotelu, prowadzonych nieprzerwanie od 1868 roku do dzisiaj.

Czytając założenia Szkoły Odrodzenia doktora Gawrońskiego (po bankructwie szwajcarskiego zakładu przeniósł się do Wielkopolski) w napisanej przez niego w 1925 roku książeczce, odnosi się wrażenie, że dziewięcioletni Leon nie miał lekkiego życia w Vevey. Zwłaszcza pod koniec istnienia placówki, która – jak pisze jej dyrektor – „przymierała głodem”. Po rozwiązaniu szkoły w lipcu 1915 roku Leon został na lodzie. Mając niespełna 11 lat, musiał sobie jakoś poradzić. Z pewnością miał wiedzę o tym, co się dzieje w Europie, w Polsce i Ukrainie. W czasie wojny dzieci szybciej dojrzewają. Ostatecznie trafił na dalszą edukację do Collège Champittet w pobliskiej Lozannie.

W latach 90. Andrzej odwiedził to miejsce w Szwajcarii, gdzie uczył się jego ojciec. Collège Champittet istnieje do dzisiaj i funkcjonuje nadal jako swego rodzaju szkoła-przechowalnia dla bogatych dzieciaków z całego świata. Rozpoznawał budynki z pocztówek zachowanych przez ojca, gdyż później dobudowano tylko wspinały ośrodek sportowy z wielką salą ćwiczeń i basenem. Spytał o absolwenta z roku 1921, ale dowiedział się, że dokumentacja przechowywana jest jedynie przez 25 lat.

Dla jego ojca musiało to być bardzo trudne dzieciństwo, choćby z prozaicznych względów materialnych. Najpierw skończyły się pieniądze, które matka zostawiła u mieszkających w Szwajcarii znajomych, potem przestały przychodzić przekazy pieniężne, a następnie urwał się z nią wszelki kontakt na co najmniej dwa i pół roku. Chłopiec pozostał zupełnie sam. O przyjaźniach z rówieśnikami z tego okresu rzadko wspominał. Andrzej zapamiętał jakąś opowiadaną przez ojca anegdotkę o kilku braciach, synach amerykańskiego producenta samochodów, którzy zaproponowali, że wezmą go ze sobą do Stanów Zjednoczonych. Ostatecznie zaopiekował się nim katolicki ksiądz Kunzli, nauczyciel religii, który wyprosił zwolnienie z opłat za szkołę, a w czasie wakacji zabierał Leona na długie piesze wędrówki po Alpach. Zamiłowanie do gór pozostało mu na całe życie. Ojciec Kunzli, choć sam

polskiego nie znał, dbał o to, by Leon nie utracił ojczystego języka i zdobywał dla niego książki po polsku, zwłaszcza Sienkiewicza, pochowanego w 1916 roku w krypcie kościoła Notre Dame właśnie w Vevey (szczątki przeniesiono do Polski dopiero w 1924 roku). Z tego czasu Leon na zawsze zapamiętał Trylogię i to ona ukształtowała go jako Polaka. Mimo tych wysiłków, przynajmniej w piśmie, francuski pozostał jego pierwszym językiem.

Maria Koźmińska miała dobrą intuicję. Z Kresów należało uciekać, zanim będzie za późno. Od 1917 roku pobliski Żytomierz był opanowywany przemennie przez armie białą, niemiecką, bolszewicką i znów białogwardyjską. Tylko w jednym roku władza w mieście zmieniała się 13 razy! Kongres wersalski po I wojnie światowej pozostawił otwartą sprawę wschodnich granic Rzeczypospolitej. Od listopada 1918 roku trwała więc wojna między Polską a Zachodnioukraińską Republiką Ludową. Zacięte walki toczyły się o Lwów. W grudniu 1918 roku ofensywę rozpoczęła Armia Czerwona. Maria była wówczas w Wyszczykusach. Na polecenie białego dowództwa przyjechała do dworu pułkownik kozacki z oddziałem, by zabezpieczyć jej wyjazd. Powiedział, że kiedy biała armia się wycofa, to chłopci dwór splądrują i podpala, a ją zabiją. Wspominał, że Kozacy mogą przewencyjnie trochę chłopów wystrzelać, ale to na długo nie pomoże. Babcia szybko zrozumiała, że musi wędrować do Polski, którą widziała tylko raz, w czasie podróży poślubnej z Bolesławem do Warszawy i Krakowa.

W 1920 roku Kresy stały się krwawym polem walki w wojnie polsko-bolszewickiej. Ostatecznie w wyniku traktatu ryskiego granica między Polską a Związkiem Radzieckim została ustanowiona na wiosnę 1921 roku i zarówno Zharek, Wyszczykusy, jak i Daszkowce zostały po drugiej stronie. Przepadło wszystko, co stanowiło majątek ziemski Koźmińskich, Dyakowskich i wielu innych. Nie tylko z dworów, także z wielkich miast, w tym z Kijowa, Polacy masowo wyjeżdżali do Polski. Jedyną rozsądną strategią było wówczas nie oglądać się za siebie, a patrzeć w przód. W tym ostatnim burzliwym okresie Maria Koźmińska wykazała się wyjątkową przedsiębiorczością i zrobiła jeszcze kilka dobrych interesów, nabyła jakieś nieruchomości w Kijowie przy Chreszczatyku, których część zdołała sprzedać przed wyjazdem.

POWRÓT DO POLSKI

W 1920 roku Leon odzyskał kontakt z matką i wrócił do Polski. Maria Koźmińska po ucieczce z Ukrainy osiedliła się na Pomorzu, w Kościerzynie. Jej koleżanka z pensji dla panien Sacré Coeur we Lwowie, lewicowa pisarka Helena Boguszewska miała tam niewielki majątek ziemski. Maria pomagała nim zarządzać. Równocześnie zatrudniła się jako nauczycielka religii w miejscowej szkole. Było bardzo biednie. Szesnastoletni Leon eksternistycznie uzyskał maturę w Tczewie. Nie było mu łatwo z uwagi na słabą znajomość polskiego i zaległości w takich przedmiotach jak historia czy literatura polska. Możliwości kontynuowania nauki na studiach wyższych nie rysowały się jasno ze względu na trudną sytuację materialną. Dlatego w czasie wakacji uczestniczył w obozach z przysposobienia wojskowego dla młodzieży i dobrze się tam czuł. W wojsku służyło wielu jego krewnych, toteż poważnie rozważał karierę wojskową. Z pomocą w dalszej edukacji przyszedł jednak inny krewny, doktor Tadeusz Ruszczyc, przed rewolucją jeden z najbardziej znanych lekarzy w Kijowie, który po 1920 roku przeniósł się do Warszawy. Pomógł sfinansować studia Leona w warszawskiej Wyższej Szkole Handlowej (późniejsza Szkoła Główna Handlowa) i tak zaczęła się przygoda rodziny Koźmińskich z tą uczelnią.

SGH była wielką miłością Leona, trwającą przez całe jego życie. Przygotował tu pracę dyplomową o polskim arystokracie-przedsiębiorcy Procie Potockim, który działał w Ukrainie za czasów Stanisława Augusta i organizował eksport zboża do Francji (Koźmiński 2019: 265–317). Jego promotorem był Ludwik Krzywicki, jeden z twórców nowoczesnej polskiej socjologii empirycznej. Z jego inspiracji Leon studiował też w latach 1925–1927 na Wydziale Humanistycznym Uniwersytetu Warszawskiego, gdzie słuchał wykładów luminarzy polskiej nauki: Władysława Witwickiego, Tadeusza Kotarbińskiego, Leona Petrażyckiego. Jego Alma Mater jednak nieodwołalnie i ostatecznie była warszawska SGH.

STUDIA WE FRANCJI

Szczególnym miejscem dla obojga rodziców Andrzeja pozostawał Paryż. Leon przyjechał tam na początku roku akademickiego 1928/1929 jako stypendysta rządu polskiego. Rok wcześniej, po uzyskaniu tytułu magistra

w WSH, wstąpił na Wydział Humanistyczny UW i podjął studia z filologii romańskiej, motywując swój wybór chęcią poświęcenia się nauczaniu języka francuskiego w szkołach handlowych. Po zaliczeniu pierwszego roku otrzymał stypendium rządowe i wyjechał do Paryża, by robić doktorat na Sorbonie. Już z Paryża prosił rektora o urlop dziekański. Powrócił na UW dopiero w latach 30., by nostryfikować paryski doktorat.

Międzywojenny Paryż przyciągał wszystkich, nie tylko uczonych. Miało być wówczas intelektualną i artystyczną stolicą świata. Zorganizowana w 1925 roku Międzynarodowa Wystawa Sztuki Dekoracyjnej i Wzornictwa stała się wielkim wydarzeniem, a polski pawilon zdobył łącznie około 200 nagród. Polski rząd nie szczędził środków, by pokazać z najlepszej strony oblicze państwa, które dopiero odzyskało niepodległość. Wielkie wrażenie robiły zwłaszcza prace dekoracyjne Zofii Stryeńskiej. Nikt we Francji nie kojarzył wówczas Polski z jakimś hydraulikiem, ale właśnie ze sztuką, nauką, a nawet z zaawansowaną technologią, choćby za sprawą szybkich parowozów z Chrzanowa. Można zaryzykować twierdzenie, że w tym czasie w Paryżu była swego rodzaju moda na Polskę i Polaków.

Leon mieszkał blisko Sorbony, w hoteliku przy rue Monsieur le Prince pod numerem 20, w bezpośrednim sąsiedztwie Ogrodu Luksemburskiego. W tym samym czasie w Paryżu przebywała jego przyszła żona Janina Szołkowska, która na Sorbonie kontynuowała studia z filologii romańskiej, kultury i cywilizacji francuskiej, rozpoczęte na Uniwersytecie Poznańskim. Po powrocie do Polski Leon Koźmiński związał się na całe życie z warszawską SGH (SGPiS w latach 1949–1991). Jego żona Janina była na tej uczelni lektorką języka francuskiego od 1945 do przejścia na emeryturę w 1971 roku.

PIERWSZA MIŁOŚĆ – SGH

Przedwojenna WSH, a następnie SGH to była uczelnia niezwykła. Uczelnia z misją, stworzona przez Bolesława Miklaszewskiego (2007), towarzysza broni i celi więziennej Józefa Piłsudskiego. Powstała po to, by dać odrodzonej Polsce oświeconą, nowoczesną europejską klasę średnią: handlowców, menedżerów i urzędników. Ukształtowana według wzorca francuskich *écoles de commerce* lub niemieckich *Handelshochschule* już w latach 30. XX wieku była zaliczana do europejskiej czołówki, między innymi dzięki zbud-